

Już sędzono go oddawna umarłym i nabalsamowanym, kiedy ukazał się napowrót w zamku swoich przodków. Zaraz więc nastąpiła tam ogromna ruinacja, niszczone wszystkie pokoje, przeobrażając je w wielkie salony galeryowe. Obrazy wieszano na to bardzo wielcy panowie. Trzeba dlał palców i świątyń, nie można ich lada gdzie poumieszczać, jak tych biednych Flamandczyków. Ież trzeba było wydać pieniędzy, ież zaciągnąć pożyczek, żeby urządzić pomieszkani dla tych królów sztuki. Zamek Dardennes został na nowo obciążony hipotecznie, bibliotekę sprzedano, tę bibliotekę, która miała być święta dla kawalera, gdyby kawaler miał jakiegokolwiek wdzięczne wspomnienie dla ojca, najmniejsze poszanowanie dla słowa danego. Po tych wszystkich wydatkach z całego ogromnego majątku zostało się już kawalerowi zaledwie 16.000 liwów dochodu.

Ale też zaprawdę, skutek odpowiedział staraniom.

Przybywano zdaleka, żeby zachwycić się cudownym widokiem tej przepysznej galeryi. Przez pletniaście lat zadowolona ambicja kawalera mogła sobie spoczywać wygodnie; chociaż wątpliwy, ażeby ambicji amatora był kiedy spoczynek dozwolony.

Pewnego razu ten złoty spokój został zakłócony dwoma wierszami pisma, pisma tak drobnego, że zaledwie je przeczytać można było:

„Kochany kawalerze!

Po skończonem winobranii mam zamiar odwiedzić cię w twoim zamku Dardennes: spodziewam się przytem zapoznać z winem zamieszkującem twoje piwnice.]

Twój stary przyjaciel

Kardynał Timoteo Temporani”.

Dardennes zblił, zadrżał, w oczach mu się zaczęło, zdawało mu się, że ziemia chce umknąć z pod nóg jego. Temporani miał znowu się zjawić. Temporani, którego imię lękał się wymówić, bo to imię było dla niego przypomnieniem tylu trosk, niespokojności, bezsennych nocy. Jednakże, ponieważ kawaler był trochę filozofem, potrafił opanować się, zgodził się nawet na to, że gdyby nie zazdrość kardynała, nigdyby na myśl nawet nie przyszło udać się do Włoch, skąd wywiózł ową cudną galeryę, która była jego dumą, chociaż go przyprowadziła do ubóstwa; koniec kofców powiedział sam sobie: cóżby on mógł teraz znaleźć do zganienia w mojej galeryi? Niech przybywa,

czekam go! Przybywaj, dodał poufale, mojego wina, dam ci najlepszego, jakie tylko jest w mojej piwnicy.

Zapowiedziany dzień nastał; w zamku Dardennes zajmowano się winobraniami.

Zbytecznem byłoby powiadać, że kardynał był dobrze przyjęty. Wiadomo, że nikt nie potrafił z takim gustem wystąpić, jak zrujnowani magnaci. Nigdy tyle, jak wówczas, nie występuje lokajów, tyle serwisów kredensowych; rzecz można, że to jest ich obchód pogrzebowy, na tym obchodzie popisują się z tem wszystkiem, co im z dawnej świetności pozostało. A jakie obiady przytem, jaka zwierzyzna wytworna! co za doskonałe ryby! co za szczególne owoce.

Trzeba było nareszcie wspomnieć o galeryi.

Trzeciego dnia dopiero kardynał wszedł do *sanctum sanctorum*.

— Piękne, bardzo piękne! — wołał on za każdym krokiem.

— Cieszę się przynajmniej — rzekł kawaler — że wasza Eminencya nic już nie znajduje do nagany.

— Nic rzeczywiście, wszystko uwielbienia godne. A cóż? nie miałem słuszności, kiedy radziłem panu, żebyś wzbogacił swą galeryę tymi klejnotami szkoły włoskiej, żebyś się pozbył całej swej flamandczyzny.

— Nie mówmy już o Flamandczykach — przerwał kawaler, któremu przeszłość ołowiem ciężka na sercu.

Po chwili milczenia kardynał mówił dalej:

— Dodać jeszcze do tej galeryi zbiór starożytnych posągów, a twój zamek będzie mógł śmiało walczyć o pierwszeństwo z willą Orsini. z willą Borghese i innemi najslawniejszemi willami.

Te słowa uderzyły jak sztyletem kawalera.

— Oto jest kawalerze lista moich posągów.

— On ma jeszcze i zbiór posągów! — zawołał kawaler, z rozpaczą załamując ręce.

— Tak, mam Hebe, trzy małe Nimfy, jednego Satyra rogatego i dwóch tłusciutkich bachusów, wynalezionych przy ostatniem odkopywaniu w Peloponezie.

— On ma satyra rogatego i dwóch tłusciutkich Bachusów — szemrał pogębiony kawaler.

Kardynał mówił dalej:

— Apollina bez ucha, Minerwę bez głowy i Wenerę bez nosa.

— On ma Wenerę bez nosa!

— Czyż bez posągów — mówił dalej Tempo-

rani — może kto poszczycić się dobrą galeryą? Nie!

— Nie! — powtórzył machinalnie biedny kawaler Dardennes.

— A oprócz posągów — dodał jeszcze okrutny kardynał — trzeba jeszcze posiadać zbiór kamei. Czy posiadasz pan zbiór kamei.

— Ani kawałka.

— Ja mam ich sztuk tysiąc pięćset. A medale? czy pan masz co z medali?

— Nie, nie mam.

— W takim razie nic nie masz kawalerze.

Kardynał wyszedł kiwając głową, zostawiając swego gospodarza w tem przekonaniu, że nic nie ma, ponieważ nie posiadał ani posągów, ani kamei, ani medali. O niczem więcej odtąd nie myślał, jak tylko o podróży do Grecyi, dla wywiezienia stamtąd marmurów i posągów Heby i Bachusków.

Tu zaczyna się epoka wielkich poświęceń. Kawaler sprzedał zamek Dardennes, pozostawiając w nim tylko jako czasowy lokator, zapożyczył na ewikcję swojej galeryi 100.000 franków, sprzedał wszystko, aż do kamienia, przykrywającego grób ojca, byle nakupić posągów.

W sześć miesięcy potem był w Grecyi.

I miał już ośmdziesiąt lat wieku i bawił jeszcze w Grecyi, skupując Adonisów bez rąk, Diany bez palców i Herkulesów, którym także czegoś nie stawało. Pod takimi to nazwiskami potomkowie Agamemnona sprzedawali niekształtne bryły marmuru, przez włoskich fałszerzy wyrobione.

I tak tysiączek po tysiączku franków roztrwonili ostatnie szczątki jego majątku i kiedy powrócił do Francyi, to w jego galeryi rozwieszały się tylko na ścianach nędzne kopie zamiast oryginałów: naśladował w tem przykład wenezyjskich magnatów. Jego przepyszna galerya warta była najwyżej 1500 franków i to razem ze złoconemi ramami.

Nareszcie ów biedak, oszukany przez innych i przez siebie samego, położył się w łóżko, znekany starością i ciężką chorobą, zamieniając jeszcze niekiedy broń bez pochew na posagi bez nosów, posagi bez nosów na maczugi indyjskie, maczugi indyjskie na jaja strusie. Nareszcie znekany, umierający, opuszczony, w chwili skonańcia nie miał już nic więcej, jak tylko jedną papugę i to żywą... Co za ironia!...

K O N I E C.

JÓZEF LASOŃ.

# Gangrena

Z CYKLU: „NA PALACH ŻYCIA”.

1)

Czytelniku! nie przerażaj i nie dław się życiem, które cię wokół otacza, otwórz źrenice oczu i patrz w dno żywota człowieka. Dojrzyś tam wszystko, koło czego przechodzisz, ocierasz się bezwiednie. Opowieść pisarza jest bowiem jak wypadek, który nagle stanął na drodze przechodnia i zmusił go do wyłączenia myśli, zastanowienia się i rozważania. Otóż znów stawiam na drodze Twojej Czytelniku wypadek, daję opowieść, która przeżarła się przez krew i mózg mój, ażeby odsłonić Ci to, koło czego przechodzisz obojętny, niedostrzegasz mimo ustawicznego ocierania się o szaty i ciało Twoje.

Podnieś przeto kołnierz zarzutki, zakryj twarz celem niepoznania i kroc za mną śmiało. Zobacz życie!

Jest wieczór jesienny, w którym ożywia się wspomnienie wiosny. Ciepły zefir strąca pożółkłe liście drzew, oddechem rozkoszuje wszelaki żywot świata.

Uważaj drogi Czytelniku wyprowadzam Cię bowiem w boczną ulicę miasta, której to ulicy główny szlak prowadzi na cmentarz. Ulica przepelniona jest spacerującymi. Jedni rozkoszują się ciepłym jesiennym wieczorem, drudzy wracają po pracy na odpoczynek, inni wreszcie żerują nocą. Właśnie wyjrzały z za twarzy księżyc i patrzy na siostrzyce ziemskie krążące po ulicach, żerujące po rogach ulic, zaułkach miasta: topią one wzrok w przechodniu wyszukując żeru. Gestem oczu, twarzy, ręki, całością

swą wabią przechodnia, jak błędny ogień wprowadzający w bagno.

Jedna z nich, odbiła od śladka skupiającego się na rogu ulicy, oplatać zdołała spojrzeniem nieznanego, krąży wokół, przygotowuje szpony drapieżne: miłości. Dobrze zbudowana, elastycznym krokiem przechodzi obok upatrzonego, zagląda w twarz z całem zasobem kokieteryi. Wygląda na zdenerwowaną damę wyczekującą spażającego się kochanka. On jest zakłopotany, bezradny, zenujący się przechodniów, siebie, a mimo wszystko porwany pożądaniem. Jeśli uczyni krok wprzód, żądza cofa go o dwa kroki w tył. Rozumie, że ogień prowadzi go w bagno, utonie w gnojowisku, a jednak nie może wydobyć się i ruszyć naprzód. Stopy ugrzęzły już na trzęsawisku, ogień błędny nieznanego przyciąga go coraz bliżej otchłani życia.

Mimo, że są sobie nieznajomi, słowa nie rzucili wzajem, rozumiały się doskonale. Kobieta wchodzi w bramę domu, on wacha się przez kilkanaście sekund, wreszcie podąża za nią.

Jest to kamienica prawie, że nowa, budowana niedawno przed wojną. Marmurowe schody, brązowe poręcze świadczą o konforcie. Prócz frontu znajdują się obszerne oficyny. Kamienica ma kilkadziesiąt lokatorów z różnych sfer.

Jedno z frontowych mieszkań pierwszego piętra zajmuje funkcjonariusz kolejowy, zdaje się nazwiskiem Prybowski. Ponieważ dla Ciebie Czytelniku nazwisko jest zupełnie obojętnem, nie będziemy sprawdzać rzeczywistego nazwiska, pozostaniemy zatem przy przytoczonym.

Mieszkanie państwa Prybowskich składa się z szeregu pokoi. Szeroki i długi przedpokój prowadzi do frontowych dwóch pokoi, w których dawniej urządzony był pierwszy salon, a w drugim pokoju Helenki córki państwa Prybowskich. Z lewej strony przedpokoju wchodzi się do dużego pokoju, przeznaczonego na sypialnię, stąd zaś do pokoju dalszej rodziny w końcu

do kuchni. Dawniej całe mieszkanie zajmował dla własnej wygody, obecnie ograniczyli się do sypialni, pokoju i kuchni.

Jest właśnie godzina wieczorna, w której państwo Prybowski zasiadają do kolacyi. Głowa rodziny pan Antoni może mieć około pięćdziesięciu lat, szczupły, niski, wychudzony przez nędzę i borykanie się z życiem. Patrząc na jego wybladłą twarz, zagasłe spojrzenie, ma się wrażenie, że cień żywota ludzkiego snuje się po świecie, cień nieszkodliwy i nic nie znaczący. Jego ojciec, staruszek siedemdziesięcioletni jest wierną jego kopią powiększoną, zdzielniałą przez starość, zbagatelizowaną przez życie. Ludzie tacy mogą żyć wieki, nie zwróciwszy na siebie uwagi. Dziaduś siedzi przy stole, wyczuje pożywienie. Oczy wierne, przywiązane, łaszczące się, spoczywają całe na gospoynie, przyrządzającej skromny wieczorny posiłek. Gdy nóż przy krajaniu mięsa silniej zazgrzytnie po talerzu, dziaduś rusza wargami, dźwiękami ssie powietrze i zapach krajanego mięsa. Obok niego siedzi wnuczka, Helenka, ośmnastoletnia pannica; wyglądająca daleko poważniej. Okrągłość biustu odziedziczyła po matce, smutne niebieskie przyćmione oczy po ojcu. Czarne krucz włosy, grubym warkoczem owite dokoła skroni odbijają się wdzięcznie od kremowej twarzy; naprzeciw Helenki siedzi czternastoletni syn Władzio, portret ojca, obdarzony żywością matki.

Siedzą w milczeniu. Ludzie ci mimo węzłów rodzinnych, skucia domowym łańcuchem, są sobie obcy, niechętni, rzekłbym, nieprzychylni.

Kolację przerywa przybycie gościa. Przybył dawny znajomy, którego zwali panem Gustawem.

Młody człowiek ożywił rodzinę. Szerokim giestem otworzył złotą papierośnicę. Łapczywie obaj Prybowski pochwycili podane papierosy, słuchając mniej lub więcej interesujących przygód pana Gustawa.

(Dalszy ciąg nastąpi).